

Lidia Owczarzak

Korespondencja własna „Nowego Świata” z Korei Ludowej

Korea nazywa się Czo-son



Na zdjęciu autorka korespondencji z pułkownikiem ochotników chińskich Lin Pei-jung.

Kesong, w październiku Kiedy Ri Sun-ok studiująca w Warszawie objaśniała mi, że Korea brzmi właściwie po koreańsku „Czo-son” — byłam zdumiona. Dlaczego nazwa używana przez Koreańczyków różni się tak bardzo od powszechnie znanej? Było to oczywiście z mej strony laickie zdumienie, bo wystarczyło po prostu przedtem poczytać Zajczykowa o Korei, aby się o tym dowiedzieć.

Paran jodza wiele rozumie...

Trzeba się jednak było najpierw zawstydzic, aby później, już w samej Korei, w rozmowie z Kim Czan-ho dostrzec w jego twarzy zadowolenie i usłyszeć, że „paran jodza mani, mani amnida” — (polska ko-

Sinijdu domów i patrzyłam na potężną rzekę Jalu, której fale obmywają miłośnie brzegi zaprzyjaźnionych z sobą krajów: Północnej Korei i Chin. Ale kiedy słońce zważyło mgły i ranna świeżość, widziałam się całą tragedię zniszczonej trzydziestoletniej wojny Korei. W górach rozciągały się jaskinie, w których zmuszony był żyć człowiek dwudziestego wieku. Koreańskie rodziny chroniły się tu przed barbarzyńsko wrzucanymi przez imperialistów amerykańskich bombami.

Z tarasu ocalałego domu jak na dłoni ukazywało się zniszczone miasto Sinijdu. Ruiny sterczały w blasku gorącego słońca, pogwałconego wojną — kraju porannej ciszy.

Ale nawet wśród ruin człowiek siebie swój codzienny chleb.

Sinijdu jest położone na północno-zachodniej nizinie koreańskiej, tuż nad granicą chińską w dolnym biegu rzeki Jalu uchodzącej do Morza Żółtego. Miasto połączone z Chinami mostem żelaznym, przez który przebiega linia kolejowa. Sinijdu jest obecnie jednym z „portów wejściowych”, wyznaczonym przez rozejm, w którym pracuje Grupa Inspekcyjna Państw Neutralnych.

Kiedyś miesiąc po podpisaniu rozejmu przybyli do Sinijdu, to 120-tysięczne niegdyś miasto zdawało się wyludnione. Po ocalałych ulicach kręciło się zaledwie kilku „abai” (starców), parę kobiet, znikoma-

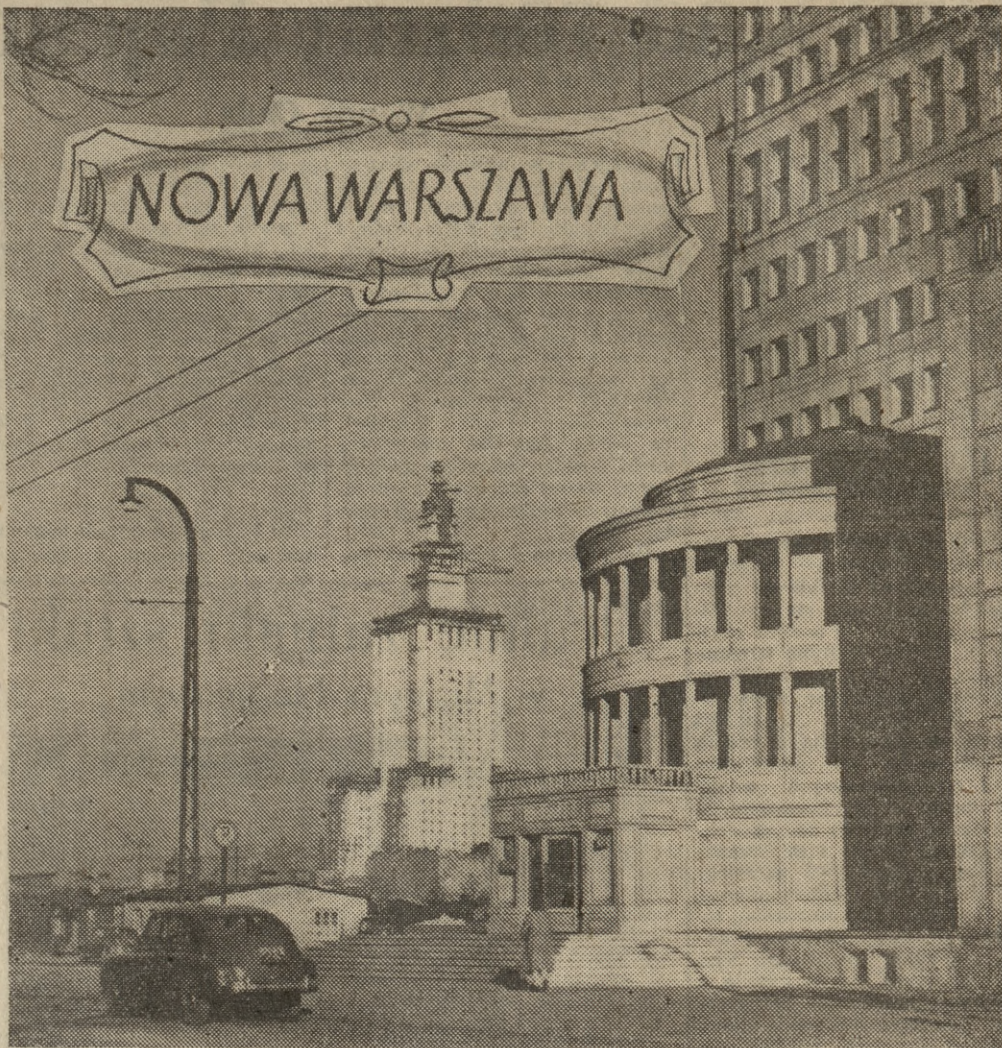
kach — bagaże. To wpływa na ich specjalne „port de tête”, — sposób trzymania głowy i poruszania się. A na plecach matki-Koreanki, przywiązane białą chustką siedzi maleńkie „aji” — dziecko. Spotykało się nawet 12-letnie dziewczynki, które tak samo nosiły na plecach swego bratka czy siostrzyczkę. Często obrazkiem jest siedzący przed chatą, otoczony wysokimi łodygami gaolianu (po koreańsku „su-su” — rodzaj prosa, rosnący wysoko jak kukurydza) „abaj”, starzec w białej pykającej długiej fajce. Jego siwa broda kołysze się na wietrze cienkimi kosmykami.

Wieczorami, z świetlic przyfabrycznych wychodziły gromady robotników i robotnic — z zebrań, gdzie omawiali nowe metody pracy.

Trzy miesiące po zawarciu rozejmu, w mieście tym pobudowano z pomocą Chin kolonię niedużych domów z czerwonej cegły. Tu również powstał Dom Kultury, w którym oglądaliśmy występy chińskich i koreańskich zespołów artystycznych. Dom ten zastąpił pozostała z czasów wojny sala im-

(Ciąg dalszy na str. 3)

Wszystkie zdjęcia autorki



CAF — fot. Szyperko

Narodom radzieckim zawdzięczamy nie tylko zwycięstwo w wojnie, wyzwolenie stolicy, oparcie polityczne w trudnych dniach przełomu, ale i pomoc gospodarczą. Z ZSRR szły do nasze stolice maszyny, dokumentacja techniczna, przyjeżdżali fachowcy. W ZSRR nasi przodujący budowniczy zdobywali z kolei nowe umiejętności, które przemieszczali do kraju. Wysoko góruje nad Warszawą sylwetka Pałacu Kultury i Nauki — widomego symbolu braterskiej zyciowości Kraju Rad dla sprawy odbudowy Stolicy, dla sprawy Polski.

Nowa Warszawa — jak przyszłość jej określił na I Warszawskiej Konferencji PZPR Bolesław Bierut — staje się stolicą państwa socjalistycznego. W mieście przed 9 laty wyludnionym, zniszczonym w 84 proc., już dziś mieszka ponad 900 tys. obywateli. Wybudowano setki słonecznych bloków mieszkalnych w 28 nowych osiedlach. Powstają nowe placówki kulturalne. W latach 1949—1952 wybudowano 40 nowych budynków szkolnych. Rośnie sieć ambulatoriów i poradni lekarskich. Dziś w 166 przedszkolach warszawskich znajduje opiekę 13.775 dzieci, zaś w 37 żłobkach — 3.670 niemowląt.

Na zdjęciu: widok na Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina z ul. Chałubińskiego.



Jacek Milczewski prawdziwie niepokonane

Tego miasta nie można zdruzgotać, jest silniejsze od bomb i pocisków artyleryjskich, które darył jego ciało.

Leżało wówczas w mroźny dzień styczniowy okryte śniegiem. Dźwięczały obdarte z dachów skrawki blachy klekocące ponuro. Pośród wawozów ruin wysuwały się na ulice i skwery dalekie zagony cegieł. Białe całun okrył zabitych, którzy nie znaleźli grabarzy. Stopa jeszcze nie przeszła przez dżunglę zniszczeń. Śnieg był nienaruszony. Tylko głównymi ulicami, gdzie ręka ludzka odrzuciła już pierwsze przeszkody — maszerowało wojsko w zielonych mundurach. Z orzelkami na czapkach. Polskie, nareszcie polskie wojsko! Śpiewało znajome pieśni i jakieś nowe, o swojej melodii, z wpadającymi w ucho słowami.

Coraz częściej opatuleni, drżący w podartych płaszczach, zmarznięci — wychodzili z podwarszawskich osiedli lewobrzeżnych mieszkańcy nieugiętej stolicy, nareszcie wyzwolonej — wyzwolicieli naprzeciw.

Wracali. Stawali niewielkimi grupkami na stertach wypalonych rumowisk i gdyby mieli kwiaty, zarzuciliby żołnierską drogę barwnym dywanem. Ale ktoż myślał wówczas o kwiatkach? Rozpierała serce radość, że oto ze wschodu nadeszła wolność, a przynieśli ją

czerwonoarmiści i nasi, z orzelkami na połowych rogatywkach, którzy tak śpiewają swoje „czy to jawa, czy sen”, że serce taje mimo mrozu. I na pewno nie jeden warszawiak zapomniał w tych wielkich chwilach pozbawionych powierzchownego patosu, że oto może mu spaść na głowę obruszona cegła lub dachówka ze szczytu wypalonej kamienicy.

Potem, gdy przed trybuną, na której stanął Bolesław Bierut w otoczeniu generałów, przedelfował wojsko — warszawiacy rozeszli się do swych domów...

Mój ty Boże! Co to były za domy! Chyba do historii przędzie ów „bohaterski” okres odbudowy stolicy. Mieszkało w jamach, resztkach bram, skleconych szałasach, głębokich piwnicach. Z byle jakich otworów, mających imitować okna wystawiano rury żelaznych „kurierków”. Dawano wówczas tym wszystkim świadectwo prawdziwe, że Warszawa żyje, odrodzi się jeszcze piękniejsza, bo jest miastem niepokonanym. W tych norach bowiem, w ciasnych pracowniach architektów i „gabinetach” członków rządu (były to niewielkie pokoiki) wyrósł wspaniały, pełen rozmachu plan odbudowy...

Odbudowy? Ej, na takie słowo dziś już nie jeden warsza-

wiak by się obraził. Budowę nowej od podstaw stolicy, miasta jalegośmy nigdy jeszcze mieć nie mogli, bo nie było ustroju, który by się na realizację takich planów porwał. Byli co prawda ludzie słabego serca. Nawet nie tchórze — być może za ostre byłoby takie słowo — obliczający, że po odbudowanym Nowym Świecie, Marszałkowskiej, Królewskiej, Chmielnej i Złotej będą spacerować dopiero wnukowie naszego pokolenia. Rzucono projekty by stolicę przenieść do innego miasta. Nawet niepoprawni optymiści kręcili nosami: „Ech, panie, bez jakiegoś cudu nie nie wyjdzie. Oni tam u góry sobie spis życzeń, a nie plan zrobili. Z czego zbudujemy, gdy wszystko zdruzgotane na proszek?”

I wówczas zaważył na szali głos przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej. Bolesław Bierut, był tym, który dodawał odwagi urbanistom i architektom, wiewał w nich wiarę, że wielkie projekty, to nie żadne mrzonki, a sprawy konkretne, możliwe do wykonania, byle się wziąć rzetelnie, z planem mobilizacji sił całego narodu.

I żadnego cudu nie było, a cała Polska i przede wszystkim Warszawa stała się nie do poznania. Piękna. No, pewnie, że jeszcze nie wszystko zrobiono, ale wybudować miasto na półtora miliona mieszkańców to nie fraszka, a miano „socjalistycznej stolicy” przebiega zobowiązuje.

Ile to już lat dzieli nas od owego „bohaterskiego” okresu? Pokolenie? A może cała epoka? Jakoś dzisiaj po dziesięciu latach od wyzwolenia Warszawy nabraliśmy pewności siebie, więc szybko tempo budowy nas już nie dziwi. Wiadomo, że jeśli postanowiliśmy zbudować Nową Hutę, czy jakiegokolwiek nowego fundamentów — miasto, to zbudujemy jak amen w pacierzu. Trzeba tylko dla realizacji tych planów mobilizacji serce i ręką całego narodu.

Nowa stolica raduje oczy; jest dumą każdego obywatela Polski; odrodziła się (zawsze

tak o Warszawie trzeba powiedzieć) niczym mityczny Feniks z popiołów, stróli się jak panama młoda — w biel MDM-u, szarą trasę W—Z, w broszki starych zabytków, pałaców o osiemnastowiecznych i ornamentach niezapomnianej Starówki, której druga część odda się w tym roku do użytku.

Wiele serdecznej, bliskiej troski każdego architekta tętni w odbudowie Warszawy. Jakże ona bliska polskiemu sercu. Każdy nieomal jej zakątek pełen jest tradycji. W zaułkach Starego Miasta poruszył patriotyczne pospólstwo szewc pułkownik Kiliński. Tu odbywały się narady jakobinów warszawskich lub zebrania stronnictwa Lelewela. Gdy przejdziemy w stronę Woli, gdzie dziś powstają nowe osiedla mieszkaniowe, przypomnieć sobie musimy już czasy najnowszej historii: Ludwika Waryńskiego budującego pierwszą partię proletariacką w Polsce, działaczy SDKPiU, Dzierżyńskiego, Marchlewskiego, Różę Luksemburg, wielkich organizatorów rewolucji w okresie międzywojennym i przywódców narodu lat okupacji — nieugiętych komunistów polskich. To są piękne tradycje rewolucyjne Warszawy, której lud zawsze bronił do ostatniej kropli krwi i nie ugiął czoła przed tyranią najeźdźców.

Nasza stolica jest więc prawdziwie niepokonanym miastem. Ponuro dźwięczy nam w uszach przypomnienie słów Hitlera, że miejsce gdzie była Warszawa należy zrównać z ziemią. Cóż — potwierdza się jeszcze raz wielka prawda, że dom można zburzyć, miasto spalić, ale tradycję jego ludu nie da się wydrzeć z serca. To było zawsze silniejsze od bomb i kartaczy; i to jest siła, wyzwolona siła, która w ciągu dziesięciu lat od oswobodzenia Warszawy przez polskie i radzieckie wojsko dźwignęła stolicę do rzędu piękniejszych miast świata. Taka bowiem będzie, bo taka jest wola jej ludu, wola narodu polskiego.



Typowy krajobraz koreański pod Kesongiem

bieta wiele rozumie). Co w mojej interpretacji znaczyło, że coś niecoś wiem o przeszłości Korei.

Wiedziałam już wtedy, że Czo-son jest nazwą starą, lecz że Koreańczycy wznowili ją dopiero w XX wieku oraz że Czo-son znaczy kraj porannej świeżości lub porannej ciszy. I ta poetyczna nazwa utrzymała się aż do dnia dzisiejszego. Wiedziałam już również od Ri Sun-ok, że nazwa „Korea” ma uzasadnioną genezę. Pochodzi bowiem od dynastii „Korio”, która panowała od X do XIV wieku. Przywieziona w dwa wieki po upadku dynastii — przez portugalskich marynarzy do Europy — przyjęła się we wszystkich jej krajach. Ale „Kraj porannej świeżości” ma swoją muzykę słów i swoją poetykę wymowy. Polubiłam bar dziej nazwę Czo-son.

Czułam poranną świeżość kraju patrząc na wylaniającą się z mgieł panoramę gór tuż pod Kesongiem, wśród których przebiega 38 równoleżnik, czułam ją patrząc na zwinne, chłopięce nieomal sylwetki żołnierzy koreańskich — Czo-son In-min Gun-de (Koreańskie Wojsko Ludowe), którzy śpiewali swą ulubioną pieśń o Kim Ir-senie.

Dzan bek san dzuli, dzuli...

Zycie jest silne

Czułam świeże technienie i poranną ciszę, kiedy będąc już na pomocy, wychodziłam na taras jednego z dwu ocalałych w

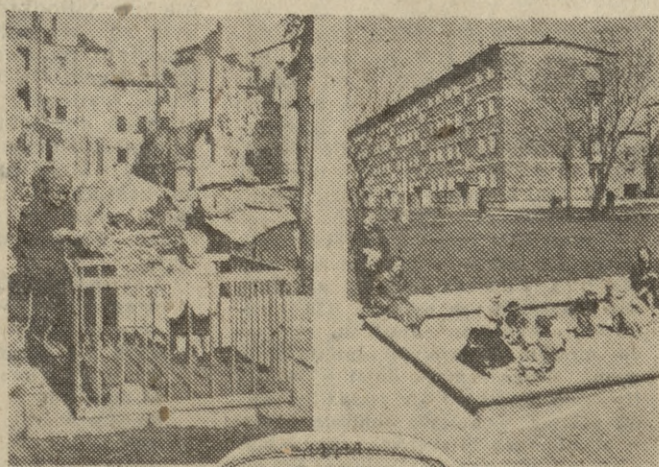
ilość dzieci i wojsko. Ale z dniem każdym napływało coraz więcej ludności. Ciągnęli do miasta z gór, z odległych wiosek, wioząc swój skromny dobytek na dwukółkowych wozach, zaprzężonych w brązowo-rude woły.

W trzy miesiące później miasto zaczęło żyć normalnie. Ruszyły fabryki, a więc kompleks tartaków, fabryka papieru, mydlarnie, gorzelnie. Otwarto szkoły i instytuty: pedagogiczne, medyczne, muzyczne.

Wraca ą ludzie

Na ulicach można było dostrzec studentów z książkami w ręku, w czarnych czapkach z białym sznureczkiem na otoku. Obok szkoły — dużego wypalonego gmachu, w którego częściach możliwych do użytku mieściły się klasy — widywało się grupy dziewczynek, bliźniaczko na pierwszy rzut oka do siebie podobnych, w swych czarnych w grzywkę przyciętych włosach i białych bluzkach z marynarskimi kołnierzykami. Ale przede wszystkim wzrok nasz przyciągały kobiety koreańskie w długich, powyżej stanki zaczynających się spodnicach, najczęściej białych, w krótkich bolerkach z szarfami, czasami w długich pantalonach, lecz zawsze w gumowych butkach z podniesionymi czubkami, sprawiających wrażenie łódek.

Kobiety koreańskie noszą na głowach — na małych plecionych ze słomy ryżowej podstaw



1945 WARSZAWA 1954

Przykład rodziny Pajchrowskich

Wanda Chila



Złotawe światło lampy padało jasnym kręgiem na zadrukowane kartki rozłożonej na stole książki. W izbie słychać tylko szelest obracanych kartek. I chyba właśnie ta cisza — tak niezwykła w gwałnym codziennym mieszkaniu — skłoniła Antoniego Pajchrowskiego, sotysa gromady Urbanowo do oderwania myśli od najnowszych osiągnięć nauki miczurimowskiej, a wzroku od wąskich linijek druku, leżących przed nim broszury. Obejrzał się — i uśmiechnął do siebie. Zobowiązanie, które złożył kierownikowi biblioteki gminnej zaczynało dawać pierwsze rezultaty. Nad przyniesionymi przed chwilą z biblioteki książkami siedziała teraz cała jego rodzina — żona i czterej synowie. Każdemu z nich umiał podsunąć takie książki, które go najbardziej interesowały i przez to właśnie wśród wszystkich członków rodziny, którzy niedawno jeszcze pokpiwali z jego zapatu, rozbudził zamiłowanie do czytania. Do IV etapu konkursu czytelników wiejskich przybyło 6 nowych członków.

Takich rodzin, jak Pajchrowscy jest dzisiaj w powiecie nowotomyskim bardzo wiele; w niektórych utworzono nawet oddzielne zespoły czytelników. Nowy Tomiś dzięki powszechnemu, masowemu włączeniu się mieszkańców wsi i miasteczek do konkursu stanął dziś na pierwszym miejscu we współzawodnictwie czytelników wszystkich powiatów naszego województwa.

1 grudnia powiat nowotomyski złożył dumny meldunek o wykonaniu swego zobowiązania dla uczczenia II Zjazdu Partii: limit przeznaczony na powiat przekroczono dwukrotnie, uzyskując imponującą liczbę 10 011 uczestników IV etapu konkursu czytelnictwa.

Sukces mieszkańców powiatu nowotomyskiego jest wynikiem dobrze zorganizowanej wspólnej pracy, która nie od razu jednak dawała pomyślne rezultaty.

We wrześniu, kiedy kierownik powiatowej biblioteki Jan Jankowski wspólnie z kierownikami bibliotek gminnych rozpoczął akcję werbunkowo-popularyzacyjną, robota szła jeszcze bardzo ciężko i opornie. Utworzono wprawdzie Powiatową Komisję Czytelniczą i rzucano nawet wezwania do współzawodnictwa wszystkim powiatom województwa — ale mimo to zgłoszeń do konkursu było jeszcze ciągle niewiele. Na pierwszej wspólnej naradzie roboczej komisji mówiono wyłącznie o trudnościach.

W gromadach nie widać żadnego zainteresowania — słyszało się wtedy — nawet spośród stałych czytelników niewiele mamy zgłoszeń.

— Po książki przychodzą zazwyczaj tylko uczniowie w poszukiwaniu lektur.

— A przecież robimy wszystko co można, żeby było jak najlepiej. Kierownicy punktów gromadzkich dostali już instrukcje, odbyły się również we wszystkich gromadach odprawy dla miejscowego aktywnego kulturalno-oświatowego, a mimo to robota jak nie idzie.

Dopiero po pierwszym okresie początkowych niepowodzeń i trudności, na któreś z kolejnych narad, spostrzeżono błąd w pracy. Dyskusja wykazała wtedy, że nie robiono jeszcze wszystkiego, co można. Członkowie komisji zrozumieli, że dla wzbudzenia zainteresowania konkursem nie wystarczy instrukcje i odprawy, a nawet dostateczne zaopatrzenie poszczególnych bibliotek w książki. I odąd zaczęto pracować inaczej.

Zasadniczą zmianą było rozpoczęcie pracy kolektywnej. Do

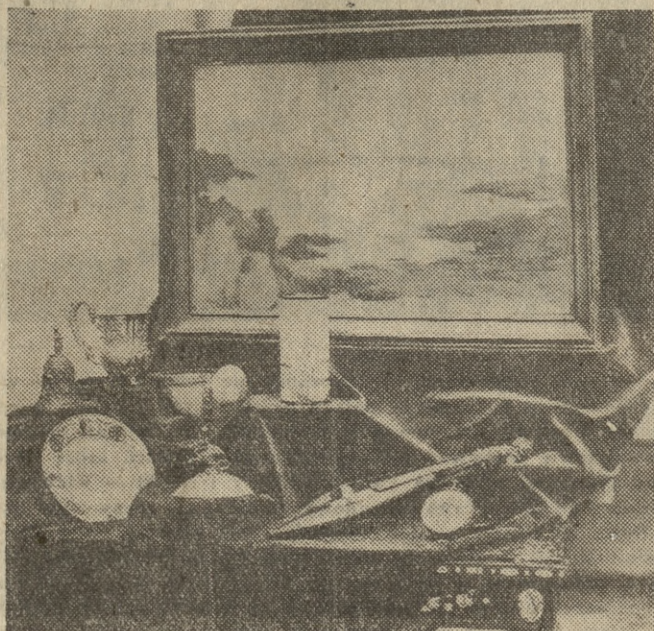
współpracy wciągnięto teraz — obok kierowników bibliotek gminnych i gromadzkich — również młodzież ZMP-owską i szkolną, nauczycielstwo i wreszcie wszystkie organizacje społeczne. Kierownik Jankowski na wielu naradach przypominał potem wystawę książek, którą zorganizowała Biblioteka Powiatowa w Grodzisku, korzystając z urządzonych tam uroczystości straży pożarnej. Ta jedna impreza pozyskała wielu nowych członków do konkursu wśród niezbyt jeszcze aktywnych mieszkańców gromady.

Do gromad i miasteczek po-

wiatu — oprócz wydawanych „blyskawic” docierała co tydzień opracowywana przez Komisję Czytelniczą, gazeta powiatowa, która donosiła o najnowszych osiągnięciach i najbardziej palących brakach przeprowadzanej akcji. W gazetkach tych coraz częściej zaczęły powtarzać się nazwy: Opalenica, Zbąszyń, Grodzisk, Łagów, Kuślin — przy których umieszczano z dnia na dzień rosnące cyfry procentu wykonywanego planu.

W każdą niemal niedzielę na murach kamienic i ścianach

Ocalałe zabytki sztuki w Muzeum Narodowym



Fragment zespołu wystawionych nabytków Muzeum Narodowego w 1953 roku

Rok 1953 przyniósł naszemu Muzeum około 260 nowych zakatalogowanych pozycji, w tym sporo starożytnych monet i grafiki. Trzeba podkreślić wzrastającą ofiarność osób prywatnych, które przekazują dzieła sztuki, znajdujące się w ich posiadaniu, by udostępnić je zwiedzającym Muzeum. Wystawa urządzona obecnie daje interesujący przegląd nowych eksponatów.

M. in. zwraca uwagę wyjątkowo piękny okaz rzemiosła artystycznego z 1628 roku — dzwonek z posiedzeń rajców miasta Warszawy wykonany dla wiceburmistrza Stanisława Baryczki. Na frontonie wystawy widzimy cenna kolekcję broni z XVI i XVII wieku w tym lewary do kusz z połowy XVI wieku. Mamy dalej puchar z muszli roboty norwimerskiej z XVII wieku i misterny dzbanek (wykonanie petersburskie) z późnego rokoka. Interesujące są dwa zegary z połowy XVIII wieku, z których jeden wykonany jest przez królewskiego zegarmistrza w Warszawie — Schepke.



Bogato dekorowany kubek srebrny wyrobu petersburskiego w stylu późnego rokoka



Dzwonek brązowy Stanisława Baryczki, wiceburmistrza m. Warszawy z 1628 roku

Dzieła sztuki plastycznej Muzeum wzbogaciły się o dwa obrazy: P. Michałowskiego (portret Krakusów) i Władysława Sławińskiego — piękny krajobraz nadmorski. Gabinet rycin otrzymał w 1953 roku sporo cennych „eksklibrysów”.

Powiększył również swoje zbiory dział etnograficzny przez misterną robotę czeplec wielkopolski z okolic Krobi.

Wystawa zakupów, darów i przekazów trwać będzie do końca stycznia br.

(Fr. H.)

Janusz Likowski

Przyzwyczajaliśmy się do myśli, że szczyt upodlenia godności człowieka, uczynienia z niego straszliwej bestii, osiągnęli faszysty niemieccy. Potwornie przeżywa, rozbudowana administracyjnie machina śmierci pochłaniała tyle istnień, że wydawała się granicą zbrodniczego szaleństwa. Suche fakty „raportu Chińskiego Czerwonego Krzyża o zbrodniach popełnianych przez wojska USA w Korei” pokazują, że krwawy obłęd nie był wyłącznym — „brunatnym” przywilejem hitlerystów. Każdy faszysta, bez względu na to, gdzie się wyłżył — czy w piwiarniach monachijskich, czy na okolonej drapaczami chmur nowojorskiej Wall Street — ma bowiem sprzeczne z ideałami humanizmu niezwykłe pętko. Opiera się na nim. Jest to pogarda dla „niższych ras”, dla „niższych klas”; graniczący z antysłowem schorzeniem, historyczny „amyskomunizm”; a wreszcie „agitacja” militarno-policyjnymi środkami „przekonywania” — pałką, rewolwerem, maszynówkami, napalmem, bombami burzącymi do atomowo-wodorowych włącznie.

Gdy pogardza się jedną grupą narodową lub społeczną — trzeba pogardzić całą ludzkością, a od pogardy wyrażonej w myślach, w słowach — jest tylko jeden krok do morderstwa. Ten krok czynią zwykle zbrodniarze wojenni. Oto ich uczynki, skrawek tragicznego rejestru Chińskiego Czerwonego Krzyża:

27 maja 1951 roku na wzgórze, położonym na południe od Jon-czon wojska USA rozstrzelały z karabinów maszynowych przeszło 130 rannych ochotników chińskich, wziętych do niewoli w zajętym szpitalu polowym... (Tego samego dnia) w okolicy Hwaczon wojska USA podpaliły szpital polowy, w którym poniosło śmierć w płomieniach 10 rannych... (dzień później) w Myon-warri na północ od Czun-czon wojska USA i lisymanowskie

domów mieniły się i przyciągały z daleka przechodniów kolorowe litery rozlepionych afiszów. „Dziś o godz. 16 wystąpi w świetlicy zespół artystyczny Zasadniczej Szkoły Metalowej z Nowego Tomysła. W programie...”. W takie dni miejscowa świetlica była wypełniona po brzegi. Uczniowie Szkoły Metalowej, Liceum Ogólnokształcącego i Szkoły Podstawowej z Nowego Tomysła znani byli ze swych występów w całym powiecie. Wesołym skeczem, piosenką i wierszem zdobywali nie tylko zainteresowanie dla konkursu. W Porajynie, Turkowie, czy Jabłonce Starej wykpił oni wielu kulałów demaskując ich wrogą działalność, a niejednego chłopca skłonili do terminowego wywiązania się z obowiązków wobec państwa w odstawie zboża.

O nowego, aktywnego wobec nasuowanych przez życie zmian i nowości obywatela walczyli również nauczyciele szkół wiejskich. Zorganizowano cykl pogadanek popularyzujących korzyści płynące z systematycznego rozszerzania i pogłębiania wiedzy za pomocą książek. Dzieci próbowały potem naśladować nauczycieli przekonując, nie zawsze jeszcze chętnie słuchających, rodziców. Ci najmłodsi „aktywiści kulturalno-oświatowi” zwerbowali także wielu nowych członków do IV etapu konkursu.

W małym pokoiku radiowej z w Nowym Tomyslu gwar młodych głosów zagłuszał płynący z głośnika melody. ZMP-owcy z Opalenicy przywieźli meldunek o najnowszych sukcesach swojej gminy; w dniu dzisiejszym osiągnięto w niej liczbę 900 uczestników, przekraczając tym samym zaplanowaną ilość o 300 osób. Meldunek za chwilę zostanie nadany przez radiowęzeł. Jeszcze tylko ostatnie poprawki — w pośpiechu zapomniano o najważniejszych rzeczach.

Nie, napisali, że Marcin Dolatowski z Wojnowie postanowił zdobyć odznakę najlepszego czytelnika wiejskiego w kraju!

Napisz jeszcze o Robercie Masłowskim, który przeczytał już wszystkie książki z biblioteki gminnej. Potem wszystkie głosy milkną nagle i w tej ciszy wyraźnie rozbrzmiewają słowa z głośnika: „Gmina Opalenica zdobyła dziś 900 uczestnika konkursu...”

Dobre rady mr Davidsona

Do gabinetu p. Harley B. Davidsona, ledwie powrócił z nocy, wchodzi John Smith. Ten biedny, wynędzniały człowiek, w znosnym ubraniu i podartych butach, od kilku już dni nie jadł obiadu i opadł całkiem z sił.

Mr Davidson, dobrze odkarmiony mężczyzna o różowych, gładkich policzkach, niebawym ruchem ręki wskazuje gościa na fotel. Mr Davidson jest zawsze gotów do udzielania dobrych rad swoim bliźnim, których przyciemnia bieda...

Straciłem pracę — ledwie dosłyszałem głosem mówią John Smith. — Moja rodzina głoduje, i nie wiem po prostu, co robić...

„Sami jesteście sobie winni, jeżeli nie możecie wyciągnąć z życia nic dobrego nawet przy niesprzyjających warunkach — surowo orzeka pan Davidson. — Na nic się nie zda siedzieć z założonymi rękami, popłakiwać na swój los i obwiniać innych. Do siebie tylko można mieć pretensję, jeśli się nie potrafi jakoś urządzić w życiu”.

Do nikogo nie mam pretensji, ale niech pan wejdzie w moje położenie...

„Oczywiście, każdy może stracić pieniądze lub pracę — ciągnie surowo pan Davidson. — Ale człowiek nigdy nie znajdzie się w położeniu bez wyjścia, jeżeli sięgnie do swoich zasobów, z których dotychczas nigdy jeszcze nie czerpał”.

Jakież to są zasoby? — zapytał John Smith. I w jego oczach błysnęła nadzieja.

„Za dużo uwagi poświęcać czysto zewnętrznym sprawom bytowym... A przecież zasoby duchowe mogą dać człowiekowi znacznie więcej szczęścia, aniżeli wszystkie czysto zewnętrzne dobra materialne”.

— Ale przecież muszę żyć i ubierać moje dzieci? Są głodne.

„Podjęmijcie niezłomną decyzję, że nie będziecie marnować zbyt wiele czasu na to, aby niepokoić się tym, czego nie możecie uniknąć ani zmienić” — kategorycznym tonem oświadczył mr Davidson.

Jakież mogą być niepokoić?

Pan Davidson aż podskoczył na krześle z oburzenia: „Niepokój jest jednym z największych waszych wrogów wewnętrznych! — wy-

krzyknął, uderzając pięścią w stół. — Niepokój podkopuje siły fizyczne, szkodzi zdrowiu... Panuje nawet pogląd, że niepokój może być bezpośrednią przyczyną dyshentrii, zwłaszcza niepokój chroniczny i towarzyszące mu zwykle zdenerwowanie”.

Do diabła z tym tysieniem! — zawołał oburzony Smith. — Niech mi pan lepiej powie, w jaki sposób mam zdobyć kawałek chleba!

„Byłoby błędne rozmyślać całe życie o rzeczach, których nie macie. Porównując swoją sytuację z sytuacją niektórych innych ludzi, którzy mają możność szerszego korzystania z dóbr doczesnych, przekonujecie się, jak niekorzystne jest dla was to zestawienie. I im dłużej o tym myślicie, tym bardziej jesteście nieszczęśliwi... Dlatego też rozsądniej jest ograniczać swoje potrzeby, nauczyć się zadowalać mniejszym...”

— A więc chce pan, abym bez sprzeciwu zmarł z głodu?

„Człowiek powinien prowadzić więcej walk z samym sobą i mniej walk z otaczającym go światem. Jest to najrozsądniejszy sposób postępowania”...

— Wszystko to nie jest zbyt pocieszające!

Mr Davidson wzruszył ramionami i monotonnie ciągnął dalej:

„Olbryzymi odsetek ludności naszego kraju żyje w ciężkich warunkach, które prędzej czy później zaczynają wywierać zgubny wpływ na fizyczny i psychiczny stan ludzi... Dlatego należy nauczyć się przyjmować życie takim, jakim ono jest”...

Czytelnikowi należą się pewne wyjaśnienia do wyżej przytoczonego dialogu. Ścisłej mówiąc — monologu, albowiem jeden z rozmówców, John Smith, jest postacią wymyśloną.

Mr Davidson jest burżuazyjnym dziennikarzem, który podjął się intratnego zajęcia — „pocieszania” społeczeństwa amerykańskiego w obliczu narastającego kryzysu. Jego artykuły drukowane są w wielu amerykańskich gazetach w rubryce „Nasz dzień dzisiejszy”. Przytoczone wyżej słowa Davidsona — to cytaty z niektórych jego „utworów”. Podaliśmy je za gazetą „Montgomery Advertiser”

WYDŁUŻAJĄCY SIĘ

dokonały krwawej masakry, zabijając ponad 280 jeńców... Zolnierze uzbrojeni w karabiny maszynowe i automaty strzelali do leżących na ziemi lub znajdujących się w namiotach rannych. Spośród 280 ludzi Liu Czun Jang (numer obozowy 731125), był jedynym, któremu udało się uciec śmierci... Szeregowiec Otto Bell (nr RA 18276618) z kompanii HSH i HSIS, 2 batalion, 2 dywizji USA, zeznał, że 30 listopada 1950 roku między Suneczon i Kunori wojska lisymanowskie zamordowały przeszło 200 wziętych do niewoli ochotników chińskich i żołnierzy Koreańskiej Armii Ludowej. Jeden amerykański, kapral Philip Anderson (nr BA 11179178) z 1 kompanii, 19 pułku piechoty, 24 dywizji USA oświadczył, że wojska USA i lisymanowskie zakały żywcem jeńców wojennych...

To tylko kilka szczegółów postępowania wojsk „wolnego świata” z jeńcami wojennymi na froncie. Może ktoś powiedzieć: „W szale wojny wiele strasznych rzeczy się zdarza; wojna to zły wychowawca; wojna demoralizuje; trzeba mieć nie lada charakter, moralność, by jej wpływowi nie ulec”. Podkreślamy jednak — nie były to wypadki, gdy dowództwo przestało panować nad rozszalałym zoidactwem ONZ. Był to bowiem system: wypracowany, przemysłowy. W obozach jeńce, gdzie obowiązują znana Konwencja Genewska, stosowały władze amerykańskie nie tylko bestialskie metody terroru, lecz także masowe eksterminacje, przy użyciu nowoczesnego sprzętu wojennego.

O godzinie 7.30 dnia 21 maja 1952 r. władze wojskowe USA uziły wojska oraz 13 czołgów i samochodów pancernych dla okrajenia baraku nr 3 dla chorych i rannych jeńców w obozie nr 2 w Pusan. Oddział pod dowództwem pułkownika USA uził przedwko ochotnikom chińskim i żołnierzom Koreańskiej Armii Ludowej karabinów maszynowych i automatów.

rzucając granaty do namiotów obozowych. Według niekompletnych danych wojska USA zabiły i ranily ponad 190 chorych i rannych żołnierzy Koreańskiej Armii Ludowej i ochotników chińskich, wśród których znajdował się Yang Ting Hus (który złożył zeznania — przyp. red.)... Do mordowania jeńców władze wojskowe używały nie tylko nowoczesnej broni, ale również nie czekały się do zakopywania ludzi żywcem, wlewania wody do ust, wycinania serca, palenia żywcem, wypalania znaków na ciele, sztyletowania i bicia pałkami. Tao Li-hsing i Czang Czen-lung zostali zaszyteliwowani; Wan Kang, Yang Fu i Tho Wen-kan zostali zaduszeni sznurami; Wang Szao-czi i Yu Szin-czei ponieśli śmierć na skutek przebiecia ich gwoździem, inni zaś zmarli na skutek wlewania im wody (także wrzacej) do ust i kiszek odbytowej oraz wypalania im podbrzusza; Wen Tao-mu został obalony benzyną i spalony. W nocy z 7 na 8 kwietnia 1952 roku agent kuomintangowski — Li Ta-en, wysłany do obozu przez władze wojskowe USA, zabił Lin Szuch-pu, wykrawając mu serce, które pokazywał dla straszenia znajdujących się w amerykańskim obozie jeńców. Ta potworna zbrodnia dokonana została za wiedzą oficerów USA...

Pięści ścisają się ze zgrozy. Do Korei, na ląd azjatycki wyruszyły kochory gangsterów w mundurach. Mało. Określenie „gangster” jest dla nich zbyt słabe — to drapieżne zwierzęta uzbrojone w nowoczesną broń, i — niestety w rozum ludzki. Nie tylko próbowali rozniecić zarazę w małym, pragnącym wolności kraju, niszczyć ogniem napalmu miasta i wsie podgórskie, rozorywać szybkobieżnymi czołgami ziemię koreańską, drzeć ją salwami artylerii, bomb lotniczych — próbowali także zlamąć godność ludzką, prawo i umowy międzynarodowe, gwarantujące humanitarne traktowanie jeńców wojennych.

Korea nazywa się Czo-son

(Ciąg dalszy ze str. 1)
prez, która mieściła się kilka metrów pod ziemią.

An Nam-sik gra „Fantazję” Ch pina

Było to 11 października. W nowym już Domu Kultury ludowy zespół pieśni i tańca z Sinjodu dał swój pierwszy występ. Byliśmy zbudowani bogactwem programu.



Młodziutka śpiewaczka ludowego zespołu Czon Jun-sun zachwyciła nas pięknym głosem.

dziewczyny w narodowych strojach, wszystkie w białej, w długich do kostek spodniach. Za nimi mężczyźni ubrani raczej po europejsku. Głosy są silne, młode.

Taniec wiosny, wdzięcznie wykonany przez młodą Czo Mjong-suk i taniec zatytułowany „Robotnik na łodzi”, zawierają w swej pantominie dużo ekspresji, podobnie jak taniec z mieczami, mają w sposobie wykonania coś z tańców chińskich, lecz w melodii i rytmie czuje się głęboki charakter rodzimy — koreański. Oto znana w całej Korei popularna piosenka ludowa „Pożegnanie na górę Arandang” — mówi wyraźnie o odrębności melodii koreańskich. Śpiewana przez młodą Czon Jun-sun melodia przechodzi w piękne gardłowe legato.

Podziwiamy dojrzałość głosów, lecz zdziwienie nasze wzrasta, gdy do pianina siada młodziutka Koreańska An Nam-sik. Spod jej drobnych palców rozlega się Fantazja Chopina...

LIDIA OWCZARZAK

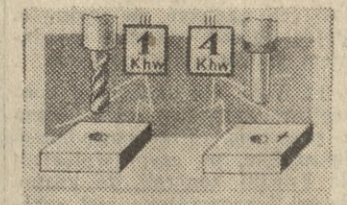
Nowe zagadnienia techniki — przyszłość maszyn

Górnice maszyny przodują

Typowym przykładem „właściwej maszyny na właściwym miejscu” są nowoczesne maszyny górnicze, dające wysoką produkcję przy małej chłonności metalu i energii. Przeniesienie jednak technologicznych procesów z jednej dziedziny produkcji do drugiej wymaga wielkiej ostrożności i uwzględnienia bardzo wielu okoliczności. Weźmy taki przykład: w ostatnich latach przy wydobywaniu rufy szeroko stosowano frezarki — maszyny zbudowane systemem wirujących noży, które spulchniają torf na masę rozdrobnioną do pyłu. Była próba przeniesienia tej metody do uprawy gruntu. Metody tej przeprowadzono wielką przyszłość. Okazało się jednak, że stosując ją otrzymuje się urodzaj wyższy tylko w pierwszych latach, po czym następuje rozkład struktury gruntu, co zgodnie z nauką Williama prowadzi do obniżenia urodzajów. Teoria spulchniania nie była powiązana z agrotechniką. Bardzo produkcyjna w jednej dziedzinie metoda, nie mogła być przeniesiona do innej.

Potrzeba kontroli mechanicznej

Weźmy inny przykład: ciec metalu jest jak gdyby jedną z najbardziej opracowa-



Z dwóch otworów w metalowych płytach pierwszy zrobiony jest na świdrowej tokarce, a drugi na elektroerozyjnej. Pierwszy zużywa 1 Kwh energii, a drugi 4 Kwh. Czy należy zaniechać drugiego sposobu bardziej doskonałego? Nie! Lecz trzeba rozstrzygnąć celowość stosowania tego lub innego sposobu w każdym konkretnym wypadku.

nym i zbadanych dziedzin nauki. Obrabianie metalu na tokarniach odbywa się, jak wiadomo, przy pomocy noży. W miarę jednak zwiększania się twardości metalu, wzrasta trudność metalicznej obróbki. Przed siedmiu laty

w Związku Radzieckim zastoso-
sowano obróbkę metalu przy pomocy iskry elektrycznej. Lecz sposób ten wymagał 3—4 razy więcej energii niż zwykła praca na obrabiarkach i dlatego metoda nie przyjęła się powszechnie; nie była technika powiązana z ekonomią.

Rozważmy inne zagadnienie — mechanikę maszyn. Walka o szybkość stała się hasłem naszych czasów. Tokarze-szybkościowcy osiągają skrawanie do 3000 m/min. Walce tokarki wirują z szybkością 10 000 obrotów/min. Wrzuciono tkackie daje 20 tysięcy obrotów/min., a ultra-centryfugi i obrabiarki szlifierskie — do 120 000 o-

brotów/min. Oczywiście przy takich szybkościach najbardziej wykwalifikowany robotnik nie jest w stanie kontrolować dokładności swej pracy. Potrzebne są mechaniczne aparaty kontrolne, które by przejęły funkcję człowieka. Konstrukcja takich aparatów jest zagadnieniem dzisiejszej techniki.

Na porządku dziennym jest dalej sprawa czasu pracy. Praca szybkościowców obejmuje zaledwie 20—30 procent całego procesu produkcji. Pozostałe 70—80 procent przypada na czynności pomocnicze — wstępne i końcowe.

Obecnie zadaniem inżynierów i konstruktorów jest

zmechanizowanie tych czynności przy pomocy specjalnych aparatów. Będzie to prowadzić do upowszechnienia fabryk automatów na wzór będących już w eksploatacji w Związku Radzieckim w których wszystkie roboty wykonują maszyny, a całą fabrykę obsługuje tylko ośmiu wykwalifikowanych robotników. Są to przedsiębiorstwa komunistycznego społeczeństwa.

W myśl dyrektywy XIX Zjazdu KC KPZR radzieccy inżynierowie pracują obecnie nad zmniejszeniem wagi maszyn, oszczędnością energii w produkcji, podniesieniem jakości maszyn i łatwością ich użycia w terenie.

H. BARAŃSKI

O niektórych sposobach podniesienia plonów (III)

Mor inż. Adam Lisiewicz

Dobra rada dla posiadaczy ogródków

Gromadzenie i przerabianie wszelkich odpadków warto polecić także właścicielom i użytkownikom ogródków i sadów podmiejskich. Jak to daje korzyści w wielu robotach z Podolan, Lubonia czy Szczepankowa zamiłowanych w uprawie działek. Systematycznie, rozumnie używana przez rolnika na wozami gospodarskimi gleba staje się wrażliwa na każdą, nawet niezbyt wielką dawkę nawozów sztucznych, odpłacając się dalszymi zyskami plonów. Nie bój się zatrzymać nad stosowaniem nawozów sztucznych azotowych gdyż jest to bardziej znane, koniecznym jednak jest szersze omówienie nawożenia fosforowego, tym bardziej że w ostatnich latach wprowadzono tu szereg nowości.

Fosfor wpływa na jakość

Fosfor jest tym składnikiem pokarmowym roślin, który obok tego, że zwiększa ilość plonu, wpływa na jakość plonu. W roślinach występuje w najważniejszych i najbardziej skomplikowanych związkach.

Od niego przede wszystkim zależy jakość ziarna, procent cukru w burakach cukrowych, procent tłuszczu w roślinach oleistych.

O znaczeniu związków fosforu dla odżywiania ludzi niech świadczy choćby to, że istnieje szereg objawów szczególnie dla dzieci zawierających fosfor w różnych postaciach. W przeciwnym razie do azotu, którego brak w prawie wszystkich naszych glebach, szereg naszych gleb jest zubożonych w fosfor. Trudność polega na tym, że nie łatwo sprawdzić gdzie jest go zbyt mało, gdzie za mało, by dać tylko tam, gdzie jest naprawdę potrzebny. Jednocześnie istnieje konieczność oszczędnej gospodarki tymi nawozami, ze względu na brak krajowych surowców do ich fabrykacji.

Wiele państwowych gospodarstw rolnych i spółdzielni produkcyjnych w Wielkopolsce posiada już many wartości fosforu swoich pól i tym dużo łatwiej stosować nawozy fosforowe posiadając pewność, że dadzą one zwiększenie ilości i jakości plonów.

Na czym więc polegać ma oszczędna i racjonalna gospodarka nawozami fosforowymi? Jeden z punktów, ten IX Superfatu, o stosowaniu superfosfatu granulowanego, Poznańskie Zakłady Nawozów Fosforowych w Luboniu, które pierwszy podzielił czyn przedzjadawcy, zobowiązały się dostarczyć do wiosny poważne ilości tego nawozu.

Trzeba więc zwiększyć ilość stosować

Nie ma znaczenia granulowanie superfosfatu, — gdybyś go wysiewał w ten sposób jak superfosfat zwykły. Zastosujemy go wysiewając do gleby razem z ziarnem siewnym zbóż. Przeprowadzone w spółdzielni produkcyjnej Tarno w pow. Oborniki w kilku innych gospodarstwach Wielkopolski i całego kraju

doświadczenia wykazały, że przy użyciu w ten sposób 50 kg superfosfatu granulowa-

nego na ha, otrzymamy taki sam plon co przy użyciu 200 kg w dotychczasowy sposób tzn. wysiewając superfosfat zwykły na powierzchnię gleby.

Ten nowy sposób zalecić można dla zoślinitu przy zastosowaniu pewnych ostrożności. Mieszaninę superfosfatu granulowanego z ziarnem bezpośrednio przed siewem.

Dłuższe, wielogodzinne zętknięcie ziarna siewnego z nawozem spowodować może osłabienie kiełkowania ziarna. Po wysiewie należy siewnik dobrze wyczyścić by uchronić metalowe części od rdzewienia. Poza zbożami pod wszystkie pozostałe rośliny zastosujemy nawozy fosforowe tak jak dotychczas. Pod ziemniaki damy tylko niewielkie ilości nawozów fosforowych, przyorując je najlepiej na wiosnę razem z obornikiem. Warto by pomnożyć choćby tylko połowę obszaru naszych pól (a przecież więcej zajmują uprawy zbóż) przez zastosowanie 150 kg superfosfatu na ha a otrzymamy tysiące ton. Możemy więc użyć zaoszczędzone przy zbóżach nawozy fosforowe pod uprawy wieloletnie, rośliny przemysłowe, laski i pastwiska. Pod te ostatnie najlepiej stosować superfosfaty i tomasyny bardzo wcześnie wiosną, a w późniejszych okresach superfosfat zwykły.

Już dziś Gminne Spółdzielnie winny zapoznać rolników z możliwościami nabycia nawozów sztucznych by każdy miał możliwość zawsza podzielić je w zależności od rodzaju uprawianych roślin i wymagań gleby. Zasada winno być: „nawozy czekają na pole a nie pole na nawozy”.

Pyszna zabawa

Tabliczka mnożenia nierzadko sprawia nam dużo kłopotu, nie zawsze zjemy z nią w zgodzie, zwłaszcza gdy trzeba policzyć jakieś działanie jedynie „z głowy”.

Przekonajcie się o tych trudnościach wszyscy, bez różnicy wieku w pożytecznej i bardzo wesołej zabawie towarzyskiej, ogromnie popularnej w Związku Radzieckim. Zobaczcie ile śmiechu, ile kpin pozbawionych złośliwości dostarczy wam ta przemila rozrywka.



A więc zaczynamy.

Zalóżmy, że w zabawie bierzemy udział 20 osób. Ustawmy więc po 10 krzeseł, jedno obok drugiego przy przeciwległych ścianach. Każdy gracz trzyma w ręku duży, widoczny numer. Jest ich w kolejności od 1 do 10. Jedną drużyną trzymają cyfry białe na czarnym tle, drugą czarne na białym. Kiedy już oba zespoły zajęły swoje miejsca na krzesełkach i każdy z graczy ma w ręku swój numer (w kolejności od 1—10), na „arene” wchodzi arbiter spotkania i dyktuje takie na przykład zadanie:

7 razy 8?
Chodź teraz o to, by z każdej dziesiątki powstały te osoby, których numery kolejne pokażą cyfry 6 0 i 9. Rzecz prosta, że posiadacz 10-tki zakrywa ręką jedynie i działania skończono.
Ba, ale to nie takie proste. Zobaczcie ile będzie omyłek i błędnych rozwiązań. W zabawie można też stosować stoper i punktację.
Zabawa na pewno lepsza... fanty. (n)

CIEŃ NORYMBERGI

Artykuł 17 Konwencji Genewskiej z 1949 roku mówi: „Nie wolno stosować tortur fizycznych ani moralnych, ani wywierać żadnego przymusu na jeńcach wojennych w celu uzyskania od nich jakichkolwiek informacji”. Tymczasem oficerowie armii USA, kraju reklamowanego przez szczerkacki jako „szczyt osiągnięć ludzkich w dziedzinie wolności i demokracji”, dokonywali takich oto czynów:

Czeng Hsien - min 18 lutego 1951 r. został ranny i wzięty do niewoli w pobliżu Topyongni. Został on wysłany jeszcze tego samego dnia na tyły i przechoził przez 4 punkty sanitarne. Wobec odmawiania przez niego zeznań, sanitarny personel wojskowy USA nie tylko nie opatrzył jego ran, ale wykręcił mu już poprzednio złamane nogę... W czerwcu 1952 r. jeńiec Czang Ping - wung, znajdujący się w szpitalu dla jeńców na wyspie Koze — odmówił (zgodnie z przepisem Konwencji Genewskiej — przyp. red.) odpowiedzi podczas przesłuchania, które mu został bezprawnie poddany; żołnierze USA poddali go torturze wlewania wody do żołądka... W upalne dni stosowano również przegrzewanie pomieszczenia, w którym ranny jeńiec się znajdował, zamykając drzwi i okna i paląc w piecu. Ranny i chory jeńiec pościł się i straszliwie cierpiał wskutek upału... 29 września 1951 roku Czao Czah - res, jeńiec, internowany w sektorze nr 1 dla chorych i rannych jeńców przy obozie nr 2 w Pusan, był torturowany przez kapitana wojsk USA, bity pałkami i poddawany elektryczności; wlewano mu też wodę z pieprzem do żołądka. Na przeciąg 8 dni zaprzestano opatrzywać mu rany w wyniku czego nastąpiło zakażenie...

To tylko mały fragment długiej listy zbrodni amerykańskich najeźdźców Korei. Raport Chińskiego Czerwonego Krzyża podaje cyfry, fakty, zestawienia. 3740 jeńców chorowało na tak zwaną „ślepotę nocną” wskutek głodu panującego w obozie. La-

tem 1952 roku ponad 3500 jeńców obozu nr 8 na wyspie Czo-ju zapadło na malarię. Jeńcom nie dostarczono wody do mycia i do picia, a jedną z systematycznie stosowanych kar (za „wykroczenie” jednego odpowiadał cały batalion — jak w obozie koncentracyjnym SS) było całkowite pozbawienie wody. Tego nawet rozbestwieni SS-owcy w obozach śmierci nie stosowali. Gdy jeńcy zaczęli kopać doły w poszukiwaniu wody — amerykańskie władze obozowe surowo zakazały tej inicjatywy. Żołnierze USA zabili przy tym i ranili jeńców, którzy kopania studni nie chcieli przerwać.

Deptano także godność ludzką. Pokazywano na wzór hitlerowski, że na azjatyckim półwyspie wyładował amerykański „herenfolk”.

27 lipca w roku 1952 pułkownik Due rozkazał wszystkim jeńcom z bloku H w obozie nr 8, aby rozebrali się do naga i salutowali mu w obecności batalionu żołnierzy amerykańskich, uzbrojonych w ponad 40 lekkich i ciężkich karabinów maszynowych. Gdy jeńcy odmówili wykonania tego rozkazu, żołnierze amerykańscy pobili ich, atakując bagnietami... W lutym 1953 roku — gdy grupa jeńców obozu nr 8 znajdowała się przy pracy, pewien żołnierz amerykański umyślnie rzucił gumę do żucia na ziemię i rozkazał jeńcom, nazwiskiem Sung, aby ją podnieśli. Gdy jeńiec odmówił — żołnierz zastrzelił go...

Tak oto wydłuża się cień Norymbergi. Możemy teraz łatwo zrozumieć, dlaczego amerykański prokurator gen. Taylor został w grudniu 1953 roku postawiony w stan oskarżenia za działalność „anty-amerykańską”. Stało się tak, ponieważ ów człowiek oskarżony w 1946 r. — w imię ludzkości — zbrodniarzy wojennych, którzy bestialsko mordowali jeńców: radzieckich, polskich, francuskich, amerykańskich, angielskich; którzy nie-

Na podstawie raportu Chińskiego Czerwonego Krzyża

mieckiego „uebermenscha” postawili ponad prawem; którzy z istic szatan-
ską perfidią niszczyli narody „niższe rasowo”; którzy usiłowali z Europy i całego świata uczynić jeden wielki oboz koncentracyjny.

I jeśli w cieniu drapaczy chmur na Wall Street legnie się straszliwe bezprawie „amerykańskiego supermana” — czyż prokurator wojskowy gen. Taylor nie jest winien „antymerykanizmu”? Walczył przecież o ukaranie ludzi, którzy nie tylko popełniają przestępstwa wojenne, lecz także je organizują, którzy wywołują wojny. A tego „antymerykanizmu” miliardery ze stanu New York, New Jersey i Michigan, z Waszyngtonu, Teksasu, Californii i San Francisco nie wybaczą. Oni bowiem chcą, by uległy narody świata podnośnicy z biota każdą gumę do żucia, jaką na ziemskim globie wypluje amerykański żołnierz.

Gen. Taylor jest „współwinnym” powstania niebezpiecznego dla miliardów przedcensu — sądu narodów nad zbrodniami wojennymi. Jest współautorem terminu „zbrodnia ludobójstwa”, który po raz pierwszy zabrał na sali procesu w Norymberdze. Miliardery musieli być skonieczonymi głupcami, gdyby wątpili w fakt, że oni właśnie te zbrodnie popełniali przez cały okres trwania działań wojennych w Korei.

Cień Norymbergi się wydłuża. Z wyrokiem narodów nad twórcami hitlerizmu — nie skończył się bowiem problem faszyzmu. To zagadnienie jest nadal aktualne. Trzeba naszej sily, potęgi prostych ludzi, wiary w człowieka i jego piękne ideały, by zwyciężyć bestie wykrwawiające ludziom serca, pastwiące się nad ranymi, zakopujące żywcem w ziemi wziętych do niewoli żołnierzy. A gdy nadejdzie dzień kłeski zbrodniarzy wojennych, cień Norymbergi slegnie poza Atlantyk.

Ucieczka

Jerzy O ierski

Halo! Uwaga! Dnia 13 bm. z domu przy ulicy Pochy-nej 23 wydalili się Jacek Kuraczko, w wieku lat 5 i do tej pory nie powrócił. Chłopiec ubrany był w jasne, brązowe palto, granatową czapkę i w czarne buciki. Ktokolwiek wie o miejscu pobytu zaginionego, proszony jest o powiadomienie najbliższego posterunku M. O. względnie rodziców zaginionego.

Powyższy komunikat był epilogiem pewnego wydarzenia obfitującego w niesłychanie dramatyczne momenty, którego bohaterami byli członkowie rodziny figurującej w spisach ewidencji ludności pod wspólnym nazwiskiem — Kuraczko.

Krytycznego wieczoru (13 bm.) lokatorów kamienicy przy ul. Pochyłej 23 elektryzował pełen rozpaczny krzyk dziecka, jak się później okazało 5-letniego syna państwa Kuraczko — Jacka. Dziecko krzychało drgającym z przerażenia głosem:

— Ratunku! Mamusi odejdź ode mnie. Jesteś straszna!

Z zeznań obywatelki Klimkowej etatowej pracownicy terenowej, zamieszkałej piętro niżej, wynikało że krytycznego wieczoru, na schodach rozległ się tupot dziecięcych nóżek oraz krzyk obywatelki Kuraczko:

— Jacek, wracaj do domu! Co się z tobą stało?

Dziecko jednak nie wróciło, czego najlepszym dowodem jest fakt, że Jacka Kuraczko zatrzymano dopiero na dworcu kolejowym w Białymstoku.

Na temat powodu ucieczki dziecka krążyło wiele plotek. Tajemniczy krzyk „ratunku” wskazywał na to, że kulisy tej sprawy nie były jasne a nawet można tu zaryzykować twierdzenie, że miały one charakter zdecydowanie ciemny.

Sąsiedzi wiedzieli, iż mały Jacek był nerwowym dzieckiem. Podejrzewano więc, że matka, wymieniona na wstępie St. Kuraczko, znęcała się nad dzieckiem, czytając mu nowowydane bajki dla dzieci. Ta wersja wydała się jednak niesłuszna, z uwagi na słowa dziecka — „Mamusi odejdź ode mnie. Jesteś straszna”.

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

To i owo.

Do San Francisco przybyło dwóch hiszpańskich poruczników marynarki wojennej na 15-tygodniowe szkolenie w amerykańskiej bazie morskiej na Trea-sure Island. W niedługim czasie oczekuje się przybycia liczniej-szej grupy oficerów marynarki hiszpańskiej.

Również celem poddania się amerykańskiej tresurze na Treasur Island.

Monopolisci USA porządnie da-ja się we znaki gospodarce Wielkiej Brytanii, która „wybalusza oczy” na kurczenie się jej wiel-kie obroty handlowe w całym świecie.

Jedynie w Kenii monopolisci brytyjscy dogadali się ze swymi kolegami po fachu za oceanu. Oto władze brytyjskie podały w Nairobi (Kenia) oficjalnie do wiadomości, że w toku ubiegłego tygodnia terrorystyczne od-działy angielskie zamordowały 60 Murzynów, a 6 rannych wzięto do niewoli.

A więc monopol na dyskry-minację rasową Made in USA w realizacji Great Britain. (n)



Władza Adenauera opiera się na dolarze i przemyśle zbrojeniowym.

Czego bał się Jacek? Oto pytania, które nurtowały umy-sły lokatorów domu przy ulicy Pochyłej 23. Rozwiązanie tajemnicy nastąpiło około trzy dni później, kiedy to do mieszkań państwa Kuraczko na deszczą depesza z komisariatu M. O. w Białymstoku, zawiadamiająca o odnalezieniu dziecka. Uszczęśliwieni rodzice wybrali się w podróż po odbiór swojej pociechy. Jakież było ich zdziwienie, kiedy pierwszymi słowami jakie posłyszeli z ust Jacka, były straszne słowa:

— Mamusi. Odejdź ode mnie. Jesteś straszna. W tym momencie, przerażone dziecko przytuliło się do piersi mili-cjanta.



— Jacek, wracaj do domu! Co się z tobą stało?

Dziecko jednak nie wróciło, czego najlepszym dowodem jest fakt, że Jacka Kuraczko zatrzymano dopiero na dworcu kolejowym w Białymstoku.

Na temat powodu ucieczki dziecka krążyło wiele plotek. Tajemniczy krzyk „ratunku” wskazywał na to, że kulisy tej sprawy nie były jasne a nawet można tu zaryzykować twierdzenie, że miały one charakter zdecydowanie ciemny.

Sąsiedzi wiedzieli, iż mały Jacek był nerwowym dzieckiem. Podejrzewano więc, że matka, wymieniona na wstępie St. Kuraczko, znęcała się nad dzieckiem, czytając mu nowowydane bajki dla dzieci. Ta wersja wydała się jednak niesłuszna, z uwagi na słowa dziecka — „Mamusi odejdź ode mnie. Jesteś straszna”.

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

Sąsiedzi wiedzieli, iż mały Jacek był nerwowym dzieckiem. Podejrzewano więc, że matka, wymieniona na wstępie St. Kuraczko, znęcała się nad dzieckiem, czytając mu nowowydane bajki dla dzieci. Ta wersja wydała się jednak niesłuszna, z uwagi na słowa dziecka — „Mamusi odejdź ode mnie. Jesteś straszna”.

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

W jakim celu zbliżała się do dziecięcia matka? Co chciała zrobić dziecku?

Kartki z pamiętnika kontrolera wewnętrznego pewnej GS

Tadeusz Multański

1. VI. Nigdy nie przypuszczałem, że stanowisko kontrolera wewnętrznego w GS-ie jest takie przyjemne. Praca — że tak powiem — po linii wal-ki z mankami, nadużyciami i w ogóle. Po pierwszej podróży inspekcyjnej jestem pełen za-pału na tej niwie.

8. VII. Zgodnie z planem miesięcznym odwiedziłem sklep nr 15, aby przeprowadzić kontrolę bez wyliczenia. Ledwo się zjawił, sklepowy Maruczek wyprosił ze sklepu wszystkich interesantów słowami: „Nie widzicie, kontrol przyjechała, czasu nie mam”, po czym starannie zamknął drzwi na zasuwkę.

— Zimno, co? — zagadnął z uśmiechem.

Nie powiem, Maruczek to całkiem sympatyczny typ. Swoją chłop. Po dwóch godzinach, podczas których ludzie czeka-jący na dworze niecierpliwili się coraz bardziej, chociaż co chwilę Maruczek powtarzał: „Nie widzicie, durnie, że kontrol przyjechała”, wpisałem do książki kontroli, że księga u-targów zgadza się ze stanem kasy ze raporty są prowadzone na bieżąco i że w ogóle w sklepie jest wszystko w porządku.

Kiedym wychodził ze sklepu, jakaś kobieta zawołała: „Ten Maruczek za wiele sobie pozwa-la, codziennie u niego kontrole”, ale nie odpowiedział nic na to, bo po pierwsze słowa te nie były zwrócone do mnie, a po drugie, co się będę ze zwykłą kobietą ze wsi kłócił.

15. VII. Dziś znowu byłem w terenie. Na kontroli bez wyliczenia. Sklepowy Ramia-czkówna ze sklepu nr 8 wpraw-dzie zalicza się do tzw. pici słabszej, he, he, he, ale głowę to ma mocną i w ogóle wszyst-ko w porządku.

19. VII. Dziś chciałem prze-prowadzić kontrolę bez wyli-czenia w magazynie rozdziel-

czym. Niech zobaczą, że czo-łowiek działa i walczy. Zawsze się to przyczynia... Trafiałem a-kurat, jak w godzinach służbo-nych siedział magazynier z kil-kością znajomymi przy butelce czystej i chlebnie ze śledziami, których jeszcze nie zdążyli przydzielić do sklepów gro-madzkich. Już miałem się obu-ryć, ale w tym właśnie mo-mentie magazynier Pawlaczek rzekł:

— Siadajcie, kontrolerze, i odpocznijcie. Drugie śniadanie jest, bo to człowiek zapraco-wany i głodny.

Rzeczywiście, wskazówki ze-garka były na tej godzinie, o której zwykle człowiek pracy zjada drugie śniadanie, więc kiedy mi zaproponowali, abym się posilił, nie odmówiłem.

Kontroli wprawdzie nie prze-prowadziłem, bo to po drugim śniadaniu najwyższy czas było zjeść trzecie śniadanie, potem obiad, w końcu i kolacji przy-szedł czas.

— Wpadnijcie jutro! — rzekł magazynier, to skontro-lujecie. — Najlepiej na drugie śniadanie.

27. VII. Ten magazynier Pawlaczek to niezły chłop. Przez tydzień można człowieka poznać od a do zet. Jutro już stanowczo muszę wpisać do książki kontroli, że wszystko w magazynie w porządku i że żadnych nadużyć nie wykryto. Pójdę przed drugim śniada-niem, żebym zdążył zapisać.

14. VIII. Na dzisiejszej kon-troli w gospodzie nr 4 byłem z prezesem. Przeprowadziłem ją szybko, po czym wpisałem do książki kontroli, że gospo-da nr 4 prowadzona jest spre-żyście i że wszystko się zgadza.

Wyniki kontroli omówiliśmy wspólnie z kierownikiem gospo-dy przy lampce, chociaż była dopiero godzina trzynasta, he, he, he.

Trzeba będzie częściej tu za-glądać. Niech ludzie na kie-rowniczych stanowiskach wie-dzą, że się trzyma rękę na pul-sie.

27. VIII. Nie myślałem, że w naszej gminnej spółdzielni są tacy ludzie, jak Maćkowiak. Maćkowiak jest sklepowym w sklepie nr 3 w gromadzie Zab-ki Górne. Przyjechałem zmę-czony, bo to gorąco i konie służbowe cały czas pod górę musiały jechać. Wchodzę jak zwykle do sklepu i mówię, że na kontrole. Maćkowiak na to: „Ano, kontrolujcie” i dalej ob-sługuje ludzi. Wlażem za bu-fet, popatrzyłem tu i tam (hm, porządek ma, ale porządek to nie wszystko), sprawdziłem, czy ceny zgadzają się z cenni-kiem (hm, i cenami oczu mi nie zamydlił), sprawdziłem kasę (kontrolerze, bądź czujny, bo się kasa zgadza), po czym zaj-rzałem do raportów. Wyprowa-dzone na bieżąco, ale znamy się na tym. Podejrzana nadgorli-wość.

Na wszelki wypadek pocze-kałem do przerwy obiadowej i kiedy ostatni klient wyszedł ze sklepu, mówię:

— Ciężka praca, co? — Eee, gdzie tam ciężka. — Maćkowiak na to. — Można sobie radzić.

— Nie bardzo z tym radze-niem, nie bardzo! — powiadam, ale Maćkowiak drzwi na zasuwkę nie zamyka, tylko py-ta:

— Czy znaleźliście jakieś u-sterki? Ano, człowiek czasami coś przeoczy, powiedzcie, to naprawię.

— Hm, można by pogadać! — powiedziałem, ale ponieważ widziałem, że Maćkowiak na pogawędkę nie ma chęci, po-prosiłem o książkę kontroli. Wpisałem, że sklep pod wzglę-dem higieny pozostawia wiele do życzenia i że należy zwrócić większą uwagę na dokumenta-cję sprzedaży, co uniemożliwi dokonywanie ewentualnych nadużyć.

3. X. Kwartalne remanenty, ta zmora wszystkich uczciwych ludzi wykazały pewne manka w niektórych placówkach na-szej gminnej spółdzielni, a mianowicie: w sklepie nr 15 (sklepowy Maruczek) — 789 zł, w sklepie nr 8 (sklepowy Ra-mia-czkówna) 1783 zł oraz w magazynie podręcznym i w go-spodzie po 1300 zł. Trochę nie-przyjemna sprawa, ale myślę,

że uda mi się ją jakoś zatu-szować. Zawsze to przecież po-rządni ludzie.

4. X. Dziś dokonaliśmy wyli-czenia remanentu ze sklepu nr 3 w Zabkach Górnych. Miałem nosa, zaraz mi się ten Maćko-wiak nie podobał. Ano, zna się człowiek na ludziach. Trzeba będzie mu dać naganę za nie-sumienne wykonywanie swoich obowiązków. Wyższe ceny po-biera. Chce się dorobić. Maćkowiak miał nadwyżkę 2 zł 16 gr.

Stosujemy nowe metody

Z nieokłamanym zadowole-niem obserwujemy w o-statnim czasie wzrost nowo-go rodzaju czytelnictwa publi-cznego. Słowo drukowane tra-fia tam do masowego odbior-cy w okresie największej chłono-sci umysłu, to znaczy już od godziny 5.30 rano. Po-ważnym udogodnieniem dla



czytelnika jest udostępnienie mu druków w formie zwartej i skondensowanej. Dotych-czasowy przestarzały system wchłaniania całych książek i gazet zastąpiony został w

O szpilkach

„Konia z rzędem”, kto po-informuje, gdzie można o-trzymać w Poznaniu szpilki krawieckie.



Chodzisz, czas tracisz — próżne twe „chody” — Pytasz i prosisz — same zawody. „Szpilki”? — są w kioskach! (te tygodniowe) Krawieckich? Nie ma! (mam zamęt w głowie) Więc szukam dalej (na płacz się zbiera) A szpilek nie ma — Cholera!! HENRYK DERWICH



— Patrz, Zdzisiu, batwan! — Jeszcze jaki batwan, mo-je dziatki... skoro już trzy godziny na NIA czekam...

Powrót taty czyli strach pani Harza Stał po północy pod drzwia-mi i cicho dzwonił... zębami.

Stosujemy nowe metody

tych przybytkach nowoczes-ną metodą czytelnictwa po-glądowego. Polega ono na przyswajaniu sobie krótkich zwrotów lub zdań twierdzą-cych, oprawionych w ramki i rozwieszonych na ścianach lokalu.

Na przykład w czytelnici publicznej przy ulicy Lampego czytamy:

— Podejmujemy nowe for-my współzawodnictwa (2X). — Palenie wzbronione. — W konkursach dekora-cji okien wystaw, zdobyliśmy 3-krotnie I miejsce. — Kosz do papieru. — Naszym hasłem: praco-wać, by zadowolić konsumen-tów i wykonywać plany. — Stosujemy w pracy me-todę inż. Kowalowa. — Prosimy o zwrot naczyń. — Współzawodniczymy o tytuł przodujących w socja-listycznym handlu. — Uwaga. Różnica pozio-mu podłogi. Skośny opad. — Metoda inż. Kowalowa jest to... (następuje opis me-tody inż. Kowalowa). — Zabieranie kubków poza lokal wzbronione. — Zadowoleni klienci świadczą o naszej pracy. — Książka życzeń i zaża-leń znajduje się w kasie. — Podnosimy sprawność handlu: uspołeczniłonego. Po-lepszamy zaopatrzenie skle-pów. Obsługujemy uprzejmie konsumentów. — Po odejściu od kasy re-klamacji się nie uwzględnia. — Bary mleczne na usłu-gach świata pracy. — Jادیسپیس dzienny. — Spluwaczka. — Nasz bar świadczy o nas.

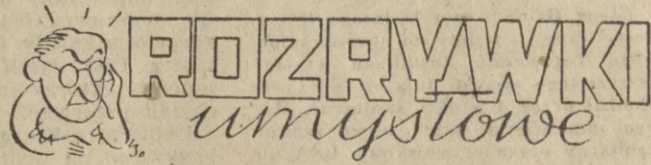
Warto jeszcze dodać, że dzięki słusznej inicjatywie kierownika lokalu w czasie lektury można wypić kubek ciepłego mleka lub zjeść bu-leczke...

MIK

Fraszka

Piszą, że wkrótce ujrzymy film nowy, ciekawy — więc wierzę im, a potem dają prosto z foremki w n-tej już wersji: „Zakazane piosenki”.

JARD



1. Logogrify — obracanka



W podanej figurze, składającej się z pięciu okręgów, należy — a) w okręgu środkowym liczby zastąpić literami i b) okręgi dru-gi, czwarty i piąty (licząc od ze-wnątrz) obracać — w ten spo-sób, aby się utworzyło czterna-scie pięcioliterowych wyrazów czytanych dośrodkowo Litery w miejscu liczb, czytane w kierunku ruchu strzałki zegarowej, da-dzą rozwiązanie główne — pol-skie przysłowie.

Znaczenie wyrazów dośro-dkowych: 1. Bawidełko. 2. Bu-dynek dla bydła. 3. Symbol na-

technienia poetyckiego. 4. Rodzaj pieczywa. 5. Zdźbło zbożowe. 6. Przegląd wojska. 7. Narzędzie ogrodnicze. 8. Idea przewodnia utworu artystycznego. 9. Deszcz kilkodniowy, szaruga. 10. Ruch kołowy. 11. Drobny pieniaż. 12. Dogał. 13. Bloko zamiarze na drodze. 14. Owad dwuskrzydły (samica kłuje boleśnie).

Bilet wizy'owy

EWA RYSZNIK

Z liter imienia i nazwiska uło-żyć nazwę miejscowości, skąd właścicielka wizytówki pocho-dzi.

Wśród osób, które nadesłały pra-widłowe rozwiązanie przynaj-mniej jednego zadanego rozryw-kowego, rozlosujemy 5 warteściowych nagród książkowych. Rozwiązania należy nadsyłać w terminie tygodniowym pod adre-sem: Redakcja „Głosu Wielko-polskiego”, Grunwaldzka 19, a dopiskiem na kopercie „Roz-rywki umysłowe”.